Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. **No. 43.** Leszno, dnia 27. Kwietnia 1839.



Widok góry Montblanc (Sallenche).

Najnowsza podróż na górę Montblanc.

(Ciąg dalszy.)

Jeszcze nam pozostała do przebycia ściana lodowata do trzydziestu stóp wysoka, poczem stanęliśmy u stóp Grands Mulets, składu prostopadłych skał, co się odosobnione wznoszą do trzystu stóp nad morze lodowate, naksztalt wieży jakiéj. Pomiędzy lodami a skałą, mieniła się spadzista przestrzeń, którą przebyć wypadało, nim się skały uchwycić mogliśmy. Pięcie się na Grands Mulets nadzwyczaj uciążliwe; postępowałem tuż za przewodnikiem Folliquetem, przyczepiony doń postronkiem. Przeszkadzał nam także piesek, przesuwający się między nogami naszemi. Tém bardziéj niebezpieczeństwo się zwiększało, iż czepiać się nam wypadało skał, skruszałych wiekiem. Półtory godziny potrzebowaliśmy czasu, dla dostania się na wierzchołek. W pół drogi ujrzeliśmy Chamouni, zkąd nas przybliżającemi szkłami uważano. Dla przypatrzenia się każdemu z naszych kroków, wielu udało się na górę Boeren, znajdującą się naprzeciw samego Montblanc: co z powodu wysokości położenia, pozwala wszystko spostrzegać, co się na górze Montblanc dzieje. Owych spostrzegaczy łączyły znaki z tymi, co w Chamouni dla naszéj podróży współudział czuli, zapewnie mniéj dla nas, jak dla zaspokojenia pani Pidwell, co po odejściu męża, o celu podróży jego powzięła wiadomość. Doszedłszy do wysokości około trzystu stóp, wróciliśmy się na prawo, i przybyliśmy do miejsca, gdzie zwykle podróżni noc przepędzają. Godzina była wpół do piątéj. Przedewszystkiém starałem się o cokolwiek wody, gdyż dokuczało wielkie pragnienie. Próżne, jednak stały się zabiegi, śnieg tylko znalazłem, a ponieważ wolno topniał, kwadrans upłynął, nim pragnienie zaspokoić zdołałem. Towarzysze krzepili się winem: dla mnie było za mocne; niebo przybrało barwę ciemno-błękitną, a promienie słoneczne odbijały się szczególną złocistą jasnością. Lekkie białawe chmurki, snuły się po nad widnokręgiem i skupiały się w stronie ku Chamouni, zasłaniając wioskę przed nami. Zamiast tejże, ujrzeliśmy jezioro genewskie, naksztalt białego bladego pasa, cały łańcuch gór Jura i oddalone równiny Francyi. Wyraźnie rozróżnić mogliśmy sąsiedni Beut, Mole, pasmo Jura od zamku Ecluse aż do Bazylei, całą więc granicę Szwajcaryi. Po za owym wałem, ukazywała nam się znaczna część Francyi. W tém miejscu znajdowaliśmy się wyżéj 9500 stóp nad powierzchnią morza, i ztąd większa część podróżnych następnego rana wraca. I tu dawniéj niesądzono być bezpieczną noc przepędzać. Laussure, podczas swéj podróży, tu nie nocował, lecz kilkaset sążni wyżéj na śnieżystéj równinie. Przewodnicy sporządzili leże w śniegu na dwie stopy głębokie, i rozpięli nad niém namiot. Wy-

godny to był nocleg, gdyż Laussure, lubo o 10000 stóp nad powierzchnią morza wyniesiony, tak mało czuł mrozu, iż kilka razy w nocy wstawał, gdyż mu za gorąco pod namiotem się wydawało. Na skale Grands Mulets ani część nie było tak wygodnie, gdyż znajduje się tam mała tylko równina, do dziesięciu lub dwunastu stóp długa, a cztery szeroka; z trzech stron otwiera się pięćset stóp głęboka przepaść, a z czwartéj strony opiera się o prostopadłą prawie ścianę skalistą. O tę opierają przewodnicy długie swe kije, zakładają na nie wełniane kołdry, tak, iż pod spodem znajduje się wolna przestrzeń, do czterech stóp obszerności mająca, gdzie podróżni jeden koło drugiego się kładą, i zasypiają, jeżeli mogą.

Skoro wszystko do noclegu przygotowano, zaczęliśmy obiadować po za namiotem i dla niezabierania za nadto miejsca, nogi spuściliśmy po nad przepaść. Uczta nasza składała się z zimnego mięsa skopowego, czarnego chleba, séra, (wszystko bez soli), wina St. George, wódki i rozstopionego śniegu. Po obiedzie, spełniliśmy zdrowia, przewodnicy zanucili piosnki, odbijające się o śnieżne szczyty góry Montblanc. Nasz Szwed uraczył nas melodyjnym głosem; zanucił bowiem z Pidwellem piosnkę norwegskich strzelców. Wesołość naszą jednak przerywał często łoskot, poczem grzmot następował, jakby całe na raz chaos, na nas zwalić się miało. Skała, gdzieśmy spoczywali, drzała wtedy. Były to lawiny, spuszczające się o sto sążni od nas w głębokie doliny, porywając z sobą bryły lodu i ogromne głazy. Po za niemi wznosił się pył śniegowy. Skała, gdzieśmy spoczywali, wznosiła się znacznie po nad lody, dla tego lawiny jéj nie sięgały. Oprócz lawin, spadających w prawo i w lewo, pyszny mieliśmy widok. Słońce zachodziło po za pasmo gór Jura we Francyi, zmieniając się w jasno-czerwoną barwę. Śnieg na Montblanc, coraz gorętszą przybierał jasność, aż do chwili, gdy czarodziejski widok gasnąc powoli, znikł całkiem nareszcie. Skoro słońce zaszło, zimno silniéj dokuczać zaczęło; termometr Reaumura, niedługo 5 stopni pod zero wskazywać zaczął. Szybko podwójne odzienie na siebie przybrałem; przewodnicy rozniecili ogień i nucić zaczęli nabożne swe pieśni wieczorne. Pyszny przedmiot dla Salwatora Rozy, owe malownicze postacie naokoło ogniska, ciemne, wydatne, lubo miłe postawy, pośród wiecznych śniegów. Ledwo co się zciemniło, gdym pod namiot się schronił, i obwinięty w wełnianą kołdrę, na gołym wyciągnąłem się głazie. Nie długo po mnie, nadeszli i towarzysze i czterech przewodników; wtedy to sypialnia nasza nader się szczupłą okazała, gdy namiot siedm tylko osobom schronienia udzielał, przeto reszta, w szczelinach skał przytułku szukać musiała. Znalazłem się ściśniętym między Balmatem i Pidwelem, co poduszkę elastyczną, powietrzem napompowaną, posiadał. Niepodobno było myśleć o swobodnych poruszeniach, ponieważ ludzi siedmiu, cztery tylko stopy przestrzeni do wolnego rozrządzenia posiadało. Całéj nocy oka nie przymknąłem. Już i tak zewsząd spadające lawiny, chwili spoczynku nie zostawiały. Najwięcéj dwadzieścia minut spokojność trwała, poczem nowa lawina, wstrząsając skałą w oddaleniu milkła. Po większéj części lawiny te spadały z Dome du Gouté, Aiguille du Midi, Mont Maudi; wszystko to wierzchołki pasma Montblanc. Cichość nocy odbijała się sprzecznie od łoskotu, zrządzonego spadkiem lawin. Pomyślałem o ojczyznie, krewnych, przyjaciołach, spoczywało nawet coś szczególnego w myśli, iż jesteśmy w téj chwili jedynemi ludźmi w Europie, co na takiéj spoczywają wysokości.

Noc jednak spokojnie minęła. Hedzegen i Pidwell zasnęli nieco, lubo ostatni mocno na pluskwy narzekał, co nas na wysokości 10,000 stóp nad powierzchnią morza, nader rozśmieszyło. O drugiéj z północy stanęliśmy na nogach. Przewodnicy odmawiali już poranne modlitwy; radzili nam ruszyć najspieszniéj, gdyż księżyc w pełni, przyświecał nakształt dziennego światła, a gwiazdy jaśniały na niebie; zebraliśmy nasze zawiniątka, spożyliśmy zmarzniętą kurę, co nieprzewidzianie trzy kwadranse zabrało. Wszystkie jeszcze przedmioty pod nami mrokiem pokryte były. Ruszyliśmy naprzód; wprzód jednak pożegnaliśmy dwóch włościan, towarzyszących nam dotąd; zeszliśmy napowrót ze skały, lubo z trudnością. Przez lody Takonaju lekko nam poszło, z powodu, iż śnieg jeszcze zmarzły z łatwością nas unosił. Ztąd kierowaliśmy pochód ciągle na prawo ku wierzchołkowi Dome du Gouté. Po za lodami Takonaju doszliśmy do Petites Monties, skały, nie zdającéj się nad siedmdziesiąt stóp wysokiéj, przecież do trzystu stóp wysokości mającéj, ponieważ tu oddalenie i przestrzeń, nadzwyczaj zwodzą. Owe Petites Monties, wznoszą się prawie prostopadle, i trzy kwadranse wyszły, nim na nie dostać się potrafiliśmy. Stanęliśmy tu na równinie, Petit Plateau zwanéj, gdzie szczeliny lubo rzadsze, przecież bez porównania szerszemi się okazywały. Przebyliśmy je na mostach różnego rodzaju; jedne składały się z pozostałości lawin, inne z nawianego śniegu.

Tu rozwidniać się zaczęło. W miarę zwiększającego się ciepła, stały się niebezpieczniejszemi owe mosty lodowate i śniegowe; i wiele ostrożności potrzebna było, dla przebywania ich bezpiecznie. Odtąd ciągle przewodnik nas poprzedzał z sznurem przywiązanym na około ciała; wolno tylko postępował i rozpoznawał z przezornością kijem niebezpieczne przeprawy. Do przebycia równiny Petit Plateau użyliśmy godziny; poczem stanęliśmy u stóp Grandes Montées. Z wielkiem natężeniem w godzinę na nie dostaliśmy się: tak, iż trzy kwadranse na siódmą zegarki nasze wskazywały, gdy

równina Grand Plateau przed nami się rozwinęła. Jestto niezmierna płaszczyzna, otoczona zewsząd górami lodowatemi i 11,000 stóp nad powierzchnią morza położona. Przebywszy jéj trzy części, zatrzymaliśmy się dla śniadania. Przewodnicy zdjęli tłomoczki i wyciągnęli z nich zmarznięte kury, zmarznięty chleb, i zamarzłe wino. Wszystko to jednak nadzwyczaj nam smakowało, lubo ciężko nam przychodziło gryść zmarzły chleb i mięso, oraz rozpuszczać w ustach sztuki zlodowaciałego wina. Podczas téj uczty, ciągły jeszcze ruch sobie nadawać musieliśmy, dla nieodmrożenia nóg, jak się niegdyś hrabiemu Tilli stało. Po półgodziny odpoczynku, ruszyliśmy ku Grands Mulits, zostawując w lewo skały Rochers Rouges. Tu zdawał nam się wierzchołek góry Montblanc tylko o 1000 stóp odległym, lubo oddalenie do 3000 ich obejmowało.

Od Grand Plateau, obróciliśmy się ku Mont Maudit, jednemu z wschodnich wierzchołków góry Montblanc. Odtąd przeszkody i niebezpieczeństwa, zwiększały się coraz mocniéj. Długo iść nam wypadło po nad brzegiem wysoko sterczącéj skały, mając z drugiéj strony otchłań niezmierzonéj głębokości. — W tém tu miejscu zagrażają lawiny, co spadając z góry, łatwo nieszczęśliwy kierunek przybrać mogą; dla tego przewodnicy nasi, zalecili nam zachowanie najgłębszego milczenia, gdyż słaby nawet odgłos ludzki, równie jak ptak lub małe inne zwierzę, stać się mogą powodem, oderwania się lawiny. Blisko ztąd, w roku 1820, trzech przewodników doktora Hammel, zasypała podobna lawina i na wieki ich zagrzebała. Julian Devouassony, przewodnik, z nami się teraz znajdujący, także nią wtedy porwany został, jednakowo cud go tylko od śmierci uratował, któréj inni trzech ulegli. Milcząc, wskazał nam miejsce, gdzie jego towarzysze, porwani lawiną, znaleźli grób w otchłani, gdzie ich ciała, po upływie lat 17tu, zapewnie niezepsute jeszcze, spoczywają. W milczeniu i nie bez obawy, przeszliśmy obok zdradliwéj otchłani, gdzieby nas kilka chwil późniéj, Dome du Gouté, spadająca lawina niezawodnie wciągnęła. Niebezpieczeństwu podobnemu, ujść cudownie jednak zdołaliśmy. *(Ciąg dalszy nastąpi.)*

Doniesienie literackie.

Tygodnik liter. poznański umieścił w Nr. II. r. b. następujące ważne doniesienie:

Jeszcze jeden Prospekt.

Kiedym ostatnią stronnicę poematu Witolu-rauda kończył, coraz niewyraźniéj, coraz zapalczywiéj gryzmoląc; kiedym w zapale jeszcze rad nowonarodzonemu dziecięciu, składał je drżącą ręką na stole: — pomyślałem sobie wzdychając: — Prawda — urodziłoś się biedne dziecię, ale kto ci poda rękę, abyś na świat wyszło? Biedna sieroto! — pewnie z tobą nie pojdę pukać do drzwi księgarzy i prosić litości! Jam na to zbyt dumny, a ty dziecino za młoda na upodlenie. Doścem ja ich próbował, tych ludzi, dla których dobrzy są tylko fabrykanci książek, płatni od łokcia papieru, nie ci, co pisząc, o świecie i księgarzu nie myślą. Dziś ich handel stał się niegodnym frymarkiem. Nie chcę ich! nie oddam cię do tego domu podrzutków i zaprzedanych. Lecz cóż zrobić?

Pytanie ważne dla tego, kto doświadczył na sobie, jak niebezpiecznie swoim nakładem wydawać, oczekując czytelników. Bo któż u nas czyta? Bóg to wie! — do mnie tajemnica ta niedoszła! Czytają prawda, ale owe książki, które do nas przychodzą bryłami z Paryża, jak mody od panny Victorine. Trudno jednakże nawet naszym czytelnikom wmówić, że poemat litewski przyszedł z zagranicy i przetłumaczony z francuzkiego! Cóż tedy robić?

Raz jeszcze spróbować prenumeraty? (na któréj także spotkały mnie już zawody, straty i przykrości). Czy można? pytałem siebie i pomyślawszy odpowiedziałem: — Ten raz.

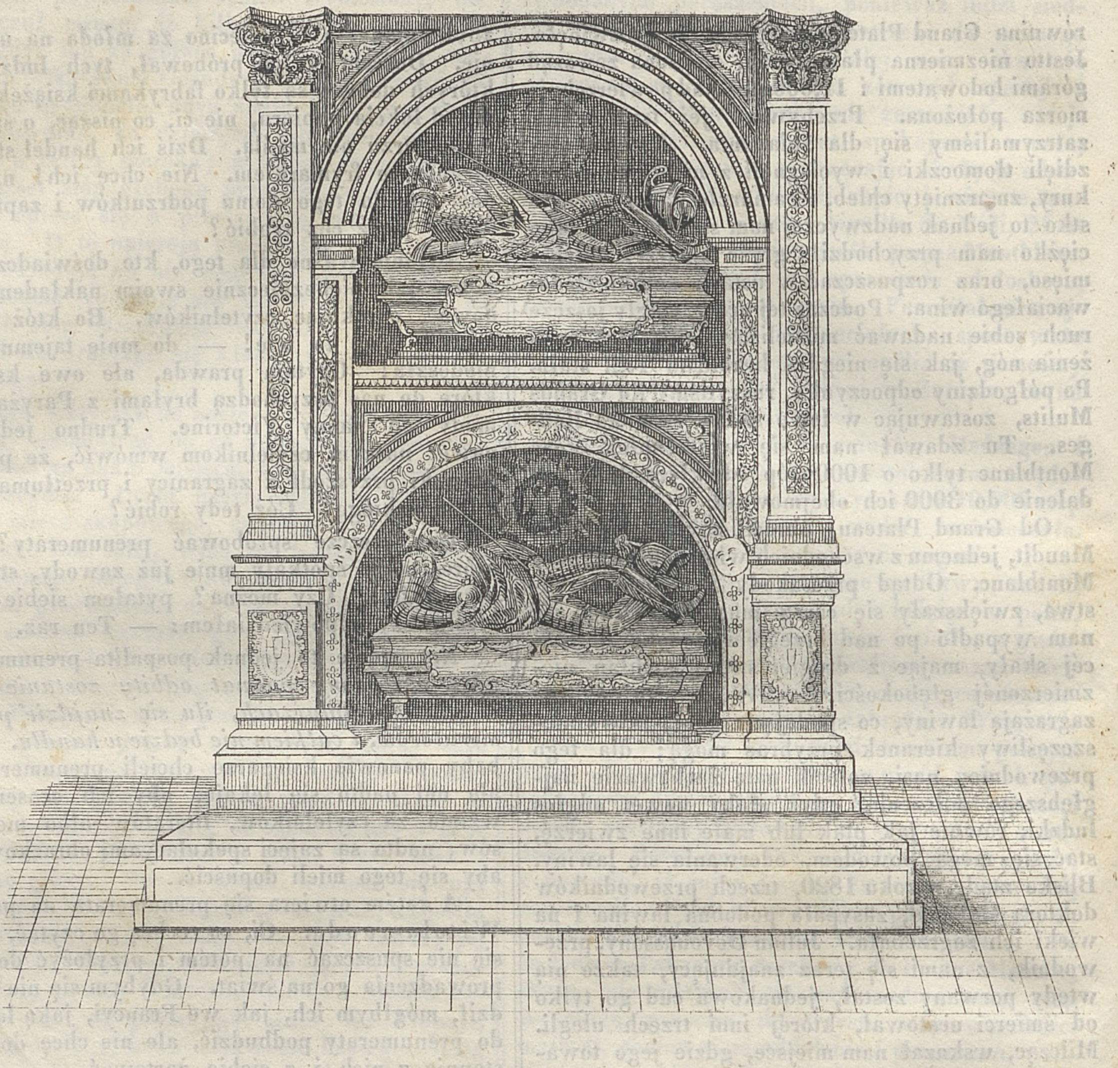
Nie będzie to jednak pospolita prenumerata, gdyż *ogłoszony poemat odbity zostanie tylko w tylu eksemplarzach, ilu się znajdzie prenumeratorów, i całkiem nie będzie w handlu.* Chybaby panowie księgarze chcieli prenumerować, ale oni nadto się lękają, aby ich czasem nie wzięto za czytelników, literatów albo mecenasów; nadto są zajęci spekulacyami obrazkowemi, aby się tego mieli dopuścić.

A zatém otwiera się prenumerata na poemat Witolu-rauda. Ci, co zechcą go czytać, raczą się nie spuszczać na potém i przyłożyć do wyprowadzenia go na świat. Gdybym się nie wstydził, mógłbym ich, jak we Francyi, jaką loteryą do prenumeraty podbudzić, ale nie chcę do tego stopnia z nich i z siebie żartować.

Witolu-rauda, jest poemat litewski, z czasów przedhistorycznych, z podania gminnego (sekime) o dzidziawirze Witolu. Co tam w nim będzie i jak napisano, pozwolicie mi państwo zamilczeć. Gdybym wam powiedział, możebyście nie prenumerowali, a ja wcale nie życzę sobie odłożyć wyjścia Witolu-raudy, do ukazania się innych pism moich, leżących w tece i może na wieki mających w niéj pozostać. Wierzcie zatém przyszli czytelnicy, że w nim są bardzo piękne rzeczy, — potém powiecie sobie, jak wam się będzie podobało.

Prenumerata przyjmuje się u łaskawych wydawców pism peryodycznych, u autora i uproszonych osób na prowincyi w Rossyi i za granicą. Czas wyjścia zależeć będzie od prenumeraty, a w razie, gdyby ta była niedostateczną na pokrycie kosztów jak najstaranniejszego wydania — prenumeratorowie nazad odbiorą pieniądze od kollektorów swoich.

1838. *Kraszewski.*
w gubernii wołyńskiéj
przez Łuck.



Pomniki Zygmunta I. i Zygmunta II.

P. S. Wydawcy pism peryodycznych zechcą ten prospekt powtórzyć, a udowodniwszy to nadesłaniem Numeru, zawierającego prospekt, otrzymają eksemplarz bezpłatny.

Pomnik Zygmunta I. i Zygmunta II.

W wspaniałéj kaplicy Zygmuntowskiéj, katedry krakowskiéj, znajdują się, opatrzone napisami, pomniki pięknéj rzeźby obu królów Zygmuntów Jagiellonów, z czerwonego marmuru, na których spoczywają posągi ich, wielkości naturalnéj. W posągu Zygmunta I., zmarłego r. 1548., życia lat 80, z których 42 chwalebnie na tronie zasiadał, zachowane jest podobieństwo twarzy. Niezbędny dług płacić mając naturze, zabronił, aby ciało jego po śmierci otwierano i napuszczano balsamem; lecz raczéj żądał, aby martwe zwłoki posypane były wapnem. „Czuł ten król wielkość nierządu," mówi Czacki; „lecz zostawił mocy światłu, które rozkrzewiał, złych nałogów w rządzie poprawę. Kilka dni szczęśliwego gwałtu, postawiłyby go były z następcami równym w sile Karólowi V. i Franciszkowi I., jak w świetle równali go z nimi współcześni."

Niżéj pod monumentem ojca, jest pomnik syna jego, Zygmunta Augusta, zmarłego r. 1572. w Knyszynie, na Podlasiu, życia lat 52, z których 24 panował. Miejsce to na położenie pośmiertnéj pamiątki, monarcha za życia sam sobie obrał i wystawienie jéj testamentem przekazał. Godna uwagi zmiana, dowodząca już w ówczas niestałości mody: podczas, gdy posąg ojca, w wieku sędziwym zmarłego, jest bez brody; syn, który zaledwo średnich lat dożył, z brodą jest wyobrażony.









Medale z galeryi hr. Ed. Raczyńskiego.

N. 234. Widok miasta Wiednia. Naokół napis: WIEN GOTT BEWACHT, DER TURCKEN MACHT LIGT NUN VERACHT, t. j.: Wiedeń od Boga strzeżony, Turków potęga leży teraz wzgardzona.

Na stronie odwrotnéj napis następujący: DIESE MÜNTZ ZEIGET DIE A(nno) 1683 $^{14}_{4}$ JUL(ii) VON MAHUMED IV BELAGRTE STATT WIEN, WELCHE ABER DURCH GOTT UND DER KEYS(erlichen) POLN(ischen) UND REICHSVÖLCKER TAPFERKEIT DEN $^{12}_{2}$ SEPT(embris) WIEDER DAVON BEFREYET WORDEN; t. j.: Ten medal wyobraża miasto Wiedeń, oblężone w roku 1683 dnia $^{14}_{4}$ Lipca od Mahometa IV., które atoli za pomocą boską męztwem wojska cesarskiego, polskiego i rzeszy dnia $^{12}_{2}$ Września oswobodzoném znowu zostało.

N. 235. Popiersie Jana III. w laurze. Napis: JOH(annes) III. REX POL(oniae); t. j.: Jan III. król polski.

Strona odwrotna: Korona, w którą zamknięte są dwie gałązki. SALUS ET VICTORIA NOSTRA; t. j.: Zbawienie i zwycięztwo nasze.

Wykład.

Medale te bite są na zwycięztwo Jana III. pod Wiedniem.

Znane są powszechnie szczegóły tego zdarzenia, które ugruntowało sławę rycerstwa polskiego w Europie; pozostaje nam przecież przyozdobić wieniec zwycięzcy zeznaniem zwyciężonych. Raszyd Efendy, dziejopis turecki, temi słowy opisuje przegraną Wielkiego Wezyra pod Wiedniem:

„Tymczasem cesarz niemiecki nie zasypiał starań około własnego ocalenia. Jeszcze na początku wojny, dowiedziawszy się o zamiarach Muzułmanów na jego stolicę, wyprawił był posłów do wszystkich królów chrześciańskich, i przez wdanie się rzymskiego papieża, głowy Chrześcian i ucieczki, wciągnął ich do związku z sobą, gdyż, podług słów Koranu: „*wszyscy niewierni jeden tylko składają naród.*“ Najpierwszy z nich, król Lechów, co zawsze chował w niewiernym sercu nieutłumioną żądzę odzyskania Kamieńca, Podola i Ukrainy, i zawsze upatrywał tylko sposobnéj do podniesienia oręża pory, nie wahał się zdradziecko złamać przymierza i wkroczyć w sojusz z Niemcami. Co rychło więc, zebrawszy wojsko, pospieszył na pomoc cesarzowi, którego téż i dalsi chrześciańscy władzcy wesprzeć podług możności ludźmi, albo pieniędzmi, nieomieszkali. Gdy sprzymierzeni połączyli swe siły o 12 godzin drogi od Wiednia, w miejscu, gdzie się wznosi kamienny most na Dunaju, sam cesarz tam pozostał, a król Lechów, ze stopnia swego dostojeństwa, objął nad całém wojskiem najwyższdowództwo. Znajdowali się przy nim wielke i polny hetmanowie z 24,000 jazdy i piechoty; i wojska cesarskiego liczono 30,000, a 40,000 posiłków niemieckich.

„D. 20. miesiąca Ramazanu, a sześćdziesiątego oblężenia, nieprzyjaciel ukazał się koło południa na górach, leżących na przeciwko stanowiska Muzułmanów. Piechota jego idzie przodem, z tyłu posuwa się jazda i wnet z tyłu mocnemi kolumnami uderzają w zastępy Ottomanów. Walka trwa około dwóch godzin.

Najprzód skrzydło, którém dowodził Beylerbey Bady, niemogąc dostać gwałtownemu natarciu nieprzyjaciela, mieszać się i pierzchać zaczyna: nieład wpada w szeregi i całe wojsko rażone popłochem, ratuje się ucieczką do obozu. Wielki Wezyr z przerażeniem ten okropny stan widzi; przejęty boleścią i rozpaczą, leci do swego namiotu, stojącego przed miastem, kiedy tymczasem nieprzyjacielska piechota, korzystając z przestrachu, wpada do Wiednia i wzmacnia jego załogę. Tak więc Chrześcianie, za pierwszém natarciem osiągnęli cel swego życzenia.

Wojsko muzułmańskie niemając nadziei utrzymania się w okopach, rzuca je tłumami i uchodzi drogą do Jawarynu, a jazda nieprzyjaciela tuż za niém do obozu wpada. Uciekające żołdactwo, niechcąc zostawić kassy wojskowéj nieprzyjacielowi, w jego prawie obecności rabuje namiot podskarbiego i pustą szopę niewiernym zostawia. Lecz skarby, daleko większe od owych, wpadły w moc zwycięzców. Na żadną, jak wiadomo, wyprawę, tak ogromne wojsko nie było nigdy zgromadzone; nigdy tak wielkie zapasy na żadną wojnę nie były wyprowadzone. Mnóstwo pozostałych w obozie dział, moździerzów, broni, rozmaitego rodzaju wojennych sprzętów, namiotów, żywności, bogactw, wszelkie przechodziło wyobrażenie, i posłużyło tylko do nasycenia chciwości i zmocnienia sił nieprzyjaciela, a dla Muzułmanów, do tego jedynie, żeby tém boleśniejszą ucierpieć przegraną. Ale tylko Bóg jeden włada wyrokami i losem zwycięztw rozrządza.“

Dobosz.

(Ciąg dalszy.)

Trzech opryszków, zostawionych na Prucie ze trzema łodziami, podpłynęli w zarośle. Miesiąc w pełni przyświecał, a czarne lasy, gdzieniegdzie ubielone śniegiem, łąki zielone i pola tak były widne, jak gdyby promień je słońca oświecał. Krzywonos, otulony bundą, stał pod wierzbą, natężał ucho ciekawie ku téj stronie, gdzie Dobosz obrócił się ze swymi chłopcami, gdy dwaj jego towarzysze, strudzeni, wyciągnięci w łodziach, smaczno zasnęli. Stojąc na straży, to spoglądał na bory i góry onéj twierdzy opryszków, to nastawiał ucha ku stronie zachodniéj, zkąd wkrótce usłyszy wrzawę i strzały. — Lecz próżno czekał; chłód wieczoru ziębił mu ciało; otrząsł z bundy i długich włosów kroplistą rosę, a oparty o pień drzewa uczuł, że drzémota zamyka mu oczy. Lecz nie był to sen mocny, bo dwa dalekie naprzód strzały, a po nich kilkadziesiąt wystrzałów i krzyki, płynąc po rosie, uderzyły w jego ucho. Zadrżał zbudzony, przetarł oczy, a krzyki i strzały nieustają wcale. Nieoddalały się one; ale coraz zbliżały i tak silnie uderzyły o wody Prutu, że dwaj Krzywonosa towarzysze zbudzeni, stanęli na nogach. Ciemna chmura zakryła księżyc, a w pomroku chwilowym błyskały dalekie strzały. Krzywonos, z lekkością wiewiórki wdarł się na buk stary, a rozgarnąwszy rosochate konary i liść gęsty, wychylił głowy i zapuścił w tamtą stronę wzrok sokoli.

Nagle świsnął przeraźliwie, i zahuknął jak nocny puhacz: z trwogą usłyszeli tak złowróżbe hasło; porwali wiosła, nożami odcięli sznury, któremi przywiązali byli łodzie, i w mgnieniu oka na środek wypłynęli Prutu. Poszedł za ich przykładem Krzywonos, zostawując na los szczęścia swoich towarzyszów i pana.

Krwią zbroczony, dwa razy cięty w głowę, z przestrzeloną ręką, uchodził Dobosz, patrząc z wściekłością, jak liczni jego towarzysze, rozpierzchli się w różne strony. Najwaleczniejsi padli pod murami dworu, lub schwytani, jutro po wschodzie słońca, z wysokiego drzewa nie dojrzą zachodu, a ich ciałami wiatry pobujają. Ciężką, szeroką i wyniosłą oddychał piersią; rozdarł na niéj koszulę, bo mu jak pancerz żelazny ciężyła. Omdlałym krokiem postępował zwolna; zaledwo wyszedł na pole, spotkał wieśniaka z furą nawozu. Już iść nie mógł. — Bat'ku ratujte! — wyrzekł i upadł.

Po szerokim gościńcu, kilku towarzyszów pancernych gnało na dzielnych koniach i właśnie na oną ścieżkę zawrócili. Kmieć zobaczył ich zdaleka, lecz niezmieszany, szedł przy furze i zwolna poganiał konia. Towarzysze pominęli furę, rzucając wzrok bystry na wszystkie strony: Dobosza już niebyło. A przecież skryty na furze opryszek, leżąc omdlały, gdy usłyszał szczęk dobrze mu znanéj broni, sięgnął do pasa, pochwycił za pistolet, lecz ręka osłabła, nie posłuchała myśli, i bezwładna opadła nazad.

W pośrodku wyniosłych Karpat, jest wieś górali ruskich, huculów, zwana **Kośniacz**, wokół zasłoniona czarnemi lasami. W pierwszéj chacie, znacznie oddzielonéj od innych, mieszkał Stefan Dźwinka, hucuł zamożny. Już oddawna sąsiedzi mówili, że Stefan ma tajemne związki z **didkiem** i opryszkami, a pierwsi i drudzy dostarczają mu pieniędzy. Jakoż, na niczém nie zbywało Dźwince, a idąc za powszechnym zwyczajem, niezważał wcale na miłośne związki żony z Doboszem: bo tam każda musi mieć swojego **Lubasa**. Wzgardziłby mąż taką żoną, którąby go nie miała, bo to pokazuje mu, że się ludziom nie podoba. Dobosz oddawna ukochał Hankę, żonę Stefana. W długie miesiące zimowe, u niéj najwięcéj przebywał, bo wypraw w tę porę nieprzedsiębrał nigdy; lecz z odgłosem kukułki, już jak pan lasów i gór wychodził na nowe rozboje.

Noc niewidna powiększała czarność lasów w około; — było po północy, a w jednym domu Dźwinki gorzał ogień, choć we wszystkich chatach zagaszono. Słychać było wewnątrz zbieganie i przytłumioną rozmowę. Hanka zapłakana, przewijała rany, leżącego na słomie Dobosza;

a stara baba warzyła przy ognisku zioła i maście. Opryszek, blady, osłabiony dużym krwi upływem, przeklęstwy i krzywieniem twarzy, okazywał ból niemały. Wyciągniony, ciężko oddychał; baba, przyniesione zioła wlała mu w usta, a Dobosz wkrótce otworzył zaczerwieniałe oczy i jakby ze snu zbudzony odetchnął wolniéj. Niedługo zasnął twardo; czuwała nad nim Hanka. Baba, przygasiwszy ogień i zawarłszy dobrze drzwi chaty, zdrzymnęła się, utrudzona pracą i niewczasem. Równo ze świtem, już dwudziestu opryszków spoczywało na sianie w stodole Dźwinki, zgromadzeni blisko swojego wodza. Rozmawiali z cicha o nieszczęsnéj wyprawie, co o trzydziestu przeszło braci zmniejszyła ich bandę. Wysłani na zwiady, radośną przynieśli nowinę, że towarzysze pancerni ślad ich zgubili i pognali w inne strony. Jeszcze słońce nie weszło na góry, a coraz więcéj rannych opryszków zgromadzało się z różnych zakątów. Obecność Dobosza i nadzieja, że wkrótce wyleczony będzie, ożywiła ich ducha i wzmocniła upadłą otuchę. Nadedniem, na spoconym i zhasanym koniu przybył i sam Stefan Dźwinka; powitał w swojéj chacie znajomego gościa i liczną jego drużynę. Nad wieczorem wsiadł na świeżego konia, a rzucając złowróżbe spojrzenie na chatę, gdzie Dobosz spoczywał: Niedługo tak będzie, — pomruknął z cicha, — przyjdzie tobie koniec: i popędził w las ciemny. Trzos ładowny pobrzękiwał mu złotem, a brzęk ten przypominał, do czego się zobowiązał. Za lasem czekał nań szlachcic, jak poznać było z kubraka i szabli, — z tym odtąd łącznie, niewyrzekłszy słowa, w dalszą puścili się drogę.

Dobosz, po czterech dniach niemocy, czuł się zdrowszym; począł więc zamyślać o nowéj wyprawie, ale nikomu zamysłu swego nie powierzał.

Piątego dnia, na tych samych łodziach, które go zaniosły na nieszczęsną wyprawę, przebył Prut brzemienny, bo dużo śniegów roztajało w górach: dwudziestu towarzyszów miał jeno przy sobie, reszcie kazał czekać w gromadzie, na wzgórzu w lesie, po tamtéj stronie rzeki. Lecz co samych opryszków zdziwiło, to dzień, samo południe, a szli na wyprawę, bo nakazał im Dobosz świeżo strzelby nabić, poostrzyć toporki, i sam nóż swój długi zaostrzył na granitowéj skale.

Dotychczas wieś Borszczów istnieje nad Prutem — był tam dziedzicem poważny szlachcic herbu Topora, towarzysz waleczny niegdyś sławnéj chorągwi hussarzy. On ze swoją czeladzią, bronił także dwór Potockich, przed kilkoma dniami, i najlepiéj dał się we znaki opryszkom. Dobosz postanowił sowicie mu zapłacić. Jak dzikie koty skradli się opryszki po cichu wyniosłą kukurydzą; żaden odgłos nie zdradził ich kroków. Nagle oskoczyli mały dworek; kilka tylko jęków, przez wybite okno, wiatr wyniósł na fale Prutu. Dobosz wybiegł z skrwawionym nożem, towarzysze z toporkami w posoce; wkrótce wybuchnął pożar, który spalił kilka trupów. Cała rodzina Toporyczka zginęła.

Słońce w południe dojmowało skwarem, a dworek jeszcze się palił. Przestraszeni kmiecie nie śmieli ratować, bo Dobosz, stojąc na łodzi, pasł wzrok dziki nieszczęsnym pożarem: za-późno uderzono w dzwon cerkiewny na gwałt; już tylko popiół z domostwa pozostał. — Ale dzwon ten napróżno nie zagrzmiał: przy pierwszém uderzeniu, łodzie z opryszkami odpłynęły chyżo na drugą stronę.

Jakiż to tuman na polu, i jakie wrzawy radośne? Wśród doliny mała chata; zdala od niéj dąb wyrasta stary, a pnia tak grubego, że czterech chłopców zaledwie objąć go zdoła. Od wieków pasterze używali pod nim chłodu, a w ranki i wieczory jesienne, palili częściami pień gruby. Choć ogień go zdawna niszczył, i wypróchniał już niemało, czołem zielonóm od wieków jeszcze potrząsał zuchwale. Wokoło chaty, zbrojni na koniach siedzą sami towarzysze; wokoło dębu szlachta piechotna, z rusznicą na ramieniu, rozpalili ogień.

— Tam do diabła, pele tego, — rzekł jakiś wąsacz wysoki, — chyba bisa że ma w ciele; na własne oczy widziałem, jak ten poganin wybiegł z téj chaty. Chyba go ziemia święta pożarła.

— I ja toż samo, (odrzekł mu drugi) widziałem, żywie Bóg, prawda! Dobosz! o przeklęty Dobosz, co naszego Toporczyka z całym rodem wymordował! O! gdybym go raz pochwycił, takbym w pieluchy okręcił, żeby mu kosteczka każda w drobny mak się pokruszyła. — I wyciągnął żylaste ręce, potrząsł niemi groźnie i zgrzytnął zębami.

— Ej, tu niema, co gowórzyć; poszukajma jeno pilnie, czy nieznajdziem tu gdzie szpary, w którą się ten łotr zacisnął: bo gdy zechce, w taką jamkę, gdzie jaszczurka się weśliźnie, to on wlézie i prześpi noc całą.

Gdy jedni poczęli troskliwie wyszukiwać jakiéj jamy, pozostali przy ognisku dokładali coraz polan. I towarzysze konni, zmordowani pogonią, nie przespawszy całéj nocy, puścili konie na trawę, zeszli się do ognia, a podłożywszy siodła pod głowy, wyciągnęli ciała zmęczone. Wiatr poddmuchiwał w ognisko, a to, dotąd mocnym buchające płomieniem, powoli zmniejszało się coraz. Stary Jędra z Załucza, stojąc najbliżéj dębu, którego pień gorzał, słyszał kilka razy oddech mocny, prawie przy swojém uchu, a nawet raz mocne zakrztuszenie; odwrócił głowę, ale nikogo za sobą nie ujrzał. Wziął to za głos jednego ze swoich towarzyszy, co zasypiali smaczno przy ognisku, i więcéj nie dawał na to baczenia.

A jednak, gdyby pochylił głowy ku dębu, usłyszałby w pniu jego szmer cichy, czasem jęk mocniejszy, lub ciężkie westchnienie. Tam, sku-

lony stał Dobosz, połykając dym czarny. W tym pniu już nieraz znajdował uchronę przed pogonią i omylił zajadłych gońców, co mu śmiercią grozili, ale teraz był w najgorszém położeniu; pień w części od spodu zwęglony, zajął się od bliskiego ognia, a wiatr żar mocniéj rozżarzał; dym dusił mu oddech; chociaż mu nietyle dokuczył, jakby komu innemu (nawykły był bowiem z młodu do niego, tyle lat przesiedziawszy w dymnéj chacie), jednak teraz zmęczony, z bijącą piersią, niemogąc zachwycić świeżego powietrza, czuł mocny ciężar, co mu piersi gniecie. Czuł okropne położenie, a jednakże dym błogosławił; bo on go jedynie zasłaniał od wrogów, co w koło zasiedli. Uciekać nie mógł; konni towarzysze wnetby dopędzili; z całą więc odwagą czekał, co mu los zdarzy.

A pień, jego ochrona jedyna, żarzył się coraz silniéj. Poczuł, że tlą się mu chodaki; rozdarta koszula niezasłaniała zarosłych piersi; płomień, co buchnął nagle, zapalił mu zarost: choć ból uczuł piekielny, szeroką dłonią przygasił pożar nagły i ochronił brodę, wąsy i głowę od spalenizny. Od spodu czuł coraz mocniejszy ogień, a opryszek, czasem jeno cichym jękiem, alboli mocném westchnieniem, objawiał ból, jakiego dotąd od żadnéj rany nie znał.

Szukający jamy na polu, albo kryjówki, wrócili z próżnéj wyprawy. Po spoczynku, towarzysze konni ruszyli kłusem, szerokim gościńcem, a szlachta piesza, wolnym krokiem zaczęła się rozchodzić.

Wtedy z pnia dębu, ostrożnie wysunął skaleczoną nogę Dobosz, i rozrzucił ognisko; poczém wychylił głowę z przepalonym włosem, z iskrzącemi oczyma, i odetchnął świeżém powietrzem: — tak był go łakomy, że długą chwilę, z otwartémi ustami, chwytał chciwie zbawczy żywioł. Wychylił się więcéj nieco, i spojrzał na dolinę w około; jazdę, tuman kurzawy zakrywał; szlachta już nikła w lesie; w ówczas wyskoczył rzeźwo, przesadził stós, tlący się jeszcze, i upadł bolami zmęczony na zieloną murawę.

Słabo tlało na kominie w chacie Stefana Dźwinki, kędy Dobosz rozweselony zabawiał z Hanką. Stary miód w gąsiorze i żytnianka, dodawały wymowy i radości opryszkowi; — ale jego ukochana Hanka nie dzieliła téj radości, z niepokojem obracała oczy na drzwi zamknięte alkierza, a kiedy Dobosz pytał o powód smutku, z bojaźnią wyrzekła: — Myślę, że umrę. — Ho, ho! zawołał zbójca, umrzeć każden musi, ale mnie nikt nie zabije, mojéj skóry nie przebije kula, chyba.... i zamilkł zmarszczywszy czoło.

Hanka, wzrok martwy zwróciła doń, i drżącą ręką dolewając w kubek drewniany starego miodu, nieszczędząc pieszczót, zapytała:

— Jakaż cię kula zabije?

Dobosz wychylił miód podany, a ocierając wąsy: odrzekł: — Strzelbę, trzebaby nabić srebrną kulą, na jéj wierzch położyć dziewięć ziarn pszenicy, któreby pop poświęcił i odmówił dwanaście ewanjelii nad niemi.

— Takaż więc kula zabije cię pewno?

Opryszek kiwnął głową, gdy w téj chwili usłyszano poruszenie w komorze, — zerwał się na nogi. Hanka zbladła. Dobosz otworzył drzwi przymknięte i z pistoletem w ręku wpadł do komory, ale ujrzawszy Stefana Dźwinkę, jak wyciągniony na słomie chrapał, spokojnie powrócił nazad.

Zaledwie zmrok padać zaczął, opuścił chatę Stefana, a gdy stanął pod czarną górą, świsnął na cztery strony świata, i stu mołodców zbrojnych, stanęło w pogotowiu na rozkazy wodza. Nie rzekł i słowa, wskazał na doliny, i w milczeniu z gór zeszli, wązką i stromą ścieżką.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie.